Sofia Casanova Lutosławska



Dwór Lutosławskich w Drozdowie, koło Łomży.



Dwór Lutosławskich w Drozdowie, koło Łomży.

Florian Śmieja

Do niedawna niewiele można się było dowiedzieć zarówno w Polsce jak w Hiszpanii o hiszpańskiej pisarce i dziennikarce Sofii Casanova Lutosławskiej (1861-1958), pierwszej żonie Wincentego Lutosławskiego. Sytuacja w obu krajach sprawiła, że milczano na jej temat, a o życiu i twórczości istniały tylko skąpe artykuły i noty. Jej osoba była niewygodna zarówno w post frankistowskiej Hiszpanii, jak też dla Peerelu.

Od kilkunastu lat zaczęły się wreszcie pojawiać rozprawy i monografie poświęcone tej nieprzeciętnej kobiecie, najpierw w Stanach Zjednoczonych dzięki wysiłkom Ofelii Alayato, następnie w Hiszpanii, gdzie oprócz wznowień reportaży Sofii z czasów

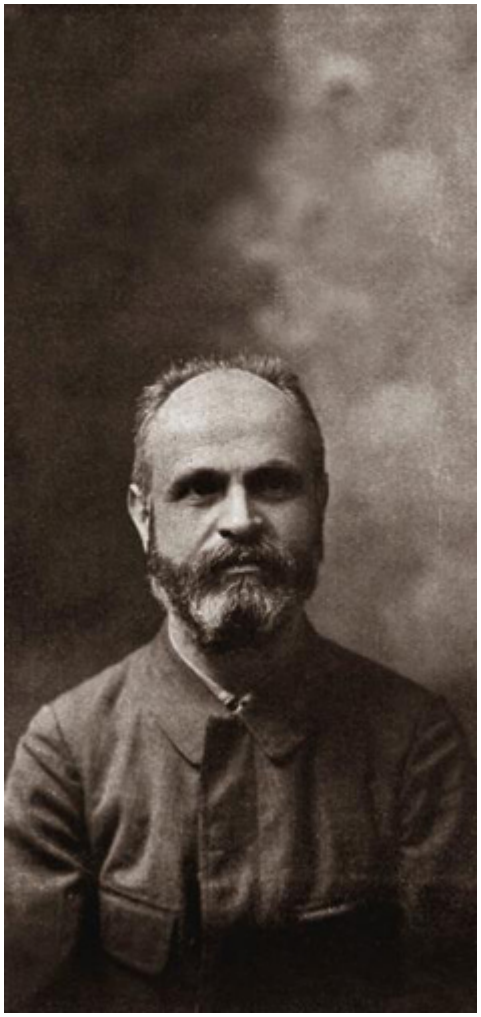
rewolucji bolszewickiej, wydano sążnistą monografię, której egzemplarz podarował mi wiosną 1989 roku w Opolu były minister spraw zagranicznych Hiszpanii, a potem prezydent Autonomicznej Galicji, a więc ziomek pisarki, Fraga Iribarne.

Sofia Casanova wydała trzy zbiorki poezji, kilka powieści i liczne reportaże. Na język hiszpański przełożyła m.in. "Quo vadis?" oraz "Bartka zwycięzcę". Dla madryckiego dziennika "ABC" napisała bez mała osiemset artykułów. Informowała w nich o sprawach Europy Wschodniej, pisała o rewolucji rosyjskiej, była gorącą orędowniczką Polski, swojej przybranej ojczyzny, aczkolwiek niejednokrotnie wytykała jej wady.

Swojego męża, młodego naukowca Wincentego Lutosławskiego, poznała w Madrycie. Była już wtedy obiecującą poetką. Zakochany Polak uczył swoją bogdankę języka polskiego na "Panu Tadeuszu", którą młoda para miała ponoć przeczytać wspólnie dwanaście razy. W romantycznej aurze lektury uroili sobie, że to właśnie z ich małżeństwa narodzi się mąż 44, który przyniesie Polsce wolność. Dlatego z ciężkim sercem przeżywali przyjście na świat pierwszej pociechy, dziewczynki, jak się miało okazać, pierwszej z czterech córek, zamiast oczekiwanego, mitycznego Henryka. Najwyraźniej zawiodła "obca" matka.



Sofia Casanova-Lutosławska



Wincenty Lutosławski

Jej poezją zainteresował się Miciński, zaproszony, obok Przybyszewskich, do hiszpańskiego domu Lutosławskich, niedaleko La Coruña w Galisji oraz Lange. Później, w Krakowie Sofia miała okazję poznać także Kasprowicza, Reymonta i Wyspiańskiego. Bliski stał się Zygmunt Balicki, a szczególnie Roman Dmowski, który został mentorem jej córek. Niespokojny duch Lutosławskiego gnał go po świecie i długie nieobecności oddalały od rodziny. Małżeństwo się rozpadło. Kiedy Lutosławski ożenił się po raz drugi, honorowa Sofia zaczęła podpisywać korespondencję jako “wdowa po Lutosławskim”.

Z Polski jeździła do Hiszpanii i była tam przyjmowana z honorami. W swojej ojczyźnie mogła wieść życie komfortowe jako uznana literatka, osoba publiczna i hołubiona w kręgach rojalistycznych. Ciągnęło ją jednak do Polski, z którą związała swoje losy. W Warszawie pracowała jako wolontariuszka w szpitalu, potem ewakuowana do Rosji w Petersburgu była świadkiem wybuchu rewolucji. Udało jej się zrobić wywiad z Trockim. Po wielu tarapatach zdołała wrócić do Warszawy i do niedalekiego Drozdowa. Jej trzy córki (czwarta zmarła) wyszły za mąż za polskich działaczy niepodległościowych. Przeżywszy okupację niemiecką Sofia przeniosła się pod koniec życia do Poznania, gdzie zmarła.



Sofia Casanova

Odwiedzając dworek Lutosławskich w Drozdowie pod Łomżą kilkanaście lat temu, nie zauważyłem wtedy żadnego śladu po Sofii wśród zachowanych po gospodarzach pamiątek, a zasługuje ona z wszech miar na osobną wystawę manuskryptów, pism i książek. Była nie tylko wieloletnią rezydentką dworku, ale też wytrwałą kobietą czynu, pacyfistką, rzeczniczką polsko-hiszpańskich relacji, skutecznym ambasadorem Polski w Hiszpanii i krajach języka hiszpańskiego, jako że jej artykuły były przedrukowywane przez czołowe pisma Ameryki Południowej..

Dziś w Polsce nastały inne czasy i należy odrobić zaniedbania i pielęgnować wszystkie aspekty kultury hiszpańskiej. Zachowawcza Sofia Casanova i jej ostra krytyka rewolucji sowieckiej oglądanej na własne oczy, znajdą obecnie, tak jak znalazły w Hiszpanii, łaskawsze przyjęcie i zainteresowanych odbiorców. Szczególnie potrzebne wydaje mi się uważne przebadanie okresu krakowskiego Lutosławskich, kiedy to przez ich salon przewinął się cały poczet wybitnych twórców, i określenie znaczenia tych bliskich kontaktów.

Ciężko doświadczona hiszpańska pisarka uwikłana w losy obcego narodu i jednej z jego znakomitych rodzin, czeka teraz na sumiennego polskiego biografa i krytyka, który by nakreślił jej pełną sylwetkę i przypomniał jej przemilczane osiągnięcia i zasługi.

Miłość po szkocku. Prolog.



Warszawa, Plac Zamkowy

Fragment powieści polskiej pisarki z Perth (zachodnia Australia) opartej na historii mieszkającej w Australii Szkotki Mary, która zakochała się w Polsce, dzięki ojczymowi Polakowi. Jej przybrany ojciec, w powieści Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki),

podczas II wojny światowej pływał na słynnym kontrtorpedowcu ORP „Błyskawica”.

Anna Habryn

Siedziała w taksówce, która wiozła ją do centrum Warszawy, słuchała jak kierowca swoją kulawą angielszczyzną objaśnia jej znaczenie miejsc i budynków, które mijają – i myślała:

Dlaczego czuję takie patriotyczne wzruszenie? Jakbym była w domu, jakbym urodziła się w tym kraju. Przecież łączy mnie z nimi tylko taka cieniutka nić, jeden człowiek… Gdybym Janowi o tym opowiedziała, pewnie by tego też nie zrozumiał.

A przecież tą pielgrzymką do Polski oddawała mu cześć, deklarowała, że stoi po jego stronie, że opowiada się za tym wszystkim, czego on się dobrowolnie wyrzekł. Czuła w sobie na myśl o Janie święty gniew. Zrezygnował z siebie samego, głupio i lekkomyślnie… Tak, jakby zaprzedał swojej Sheili własną duszę w zamian za gwarancję szczęścia i miłości. Tylko, że Sheila nie dotrzymała umowy! I dlatego ona, jej córka, musi Janowi zwrócić część tej zapłaty, to, co da się jeszcze ocalić.

Pojechała na Stare Miasto, zatłoczone tłumem turystów. Chodziła wśród obrazów rozstawionych pod ścianami domów i na środku, w pełnym słońcu, wśród akwarelowych i olejnych pejzaży

i widoków Warszawy sprzedawanych wcale nie za takie grosze. W starej baszcie, w sklepie przypominającym Sezam, oglądała cudnie przejrzyste bursztyny. Wchodziła do mrocznych kościołów pełnych rzeźbionych ołtarzy, i stalli, i chórów, i kazalnic, i organów, a wszędzie trwało ciągłe nabożeństwo.

W jednej z wąskich uliczek brukowanych kocimi łbami usłyszała nikły, wibrujący dźwięk akordeonu. Sama kiedyś próbowała grać na akordeonie. Poczuła ciepło w sercu. Rozejrzała się. Na chodniku pod ścianą siedział chłopiec w łachmanach, cygańskie dziecko, i grał piosenkę, której angielskie słowa dobrze pamiętała:

> Oh, how we danced on the
>
> Night we were wed…

Tę piosenkę grano podczas jej własnego ślubu. Musiała podejść bliżej, jakby pociągana nitką dźwięków. Idąc, powstrzymywała nogi, żeby nie pląsały zbyt wyraźnie w rytm walca, przecież to nie wypada. Jej oczy lśniły jak gwiazdy, kiedy dawała chłopcu wielką garść drobniaków. Odpowiedział uśmiechem równie radosnym, jak jej własny.

Kupiła sześć lalek w ludowych strojach i jeszcze kilka

drobiazgów z kryształu. Drewnianą płaskorzeźbę z godłem Orła Białego – dla Jana. I kilka polskich proporczyków. I wisiorek z bursztynu – to dla siebie. Talerz z namalowaną Syrenką, której polskiego imienia nie znała, ale wiedziała, że to symbol Warszawy i że słowa wyryte na obrzeżu znaczą: *Warszawa zawsze wolna.*

Rozważała przez chwilę pomysł przejechania się dorożką, ale zarzuciła go, bo poczuła się głodna. Nie, dość już polskiej kuchni. Znalazła pizzerię, gdzie podano jej coś znanego i pewnego – i do tego piwo.

Potem znów wyszła w słońce.

Wędrowała wśród tłumu turystów fotografujących wszystko. Wiedziała, że Starówka jest tylko rekonstrukcją, odbudowaną z ruin. Ale w zachowanych gdzieniegdzie fragmentach starych ścian widziała autentyczne dziury po niemieckich kulach. Te kule zabijały tu niegdyś ludzi, zwykłych ludzi. Dobrze, że te znaki zostawiono dla przyszłych pokoleń, aby wiedziały. Czuła, że to miejsce, tak pieczołowicie odbudowane ze szczątków, jest święte. (…)

Zeszła nad Wisłę, w dół po zielonym stoku. Woda płynęła spokojnie. *To byłby piękny obraz, gdyby go namalować, z dołu patrząc na ten most* – pomyślała. Jacyś chłopcy próbowali łowić z

brzegu ryby.

Przypomniały jej się dzieci, które spotkała podczas porannego spaceru koło hotelu. Zapytała je, gdzie jest najbliższy przystanek autobusowy. Chciała po prostu nawiązać rozmowę. Powiedziała, wskazując na siebie:

-Nie polskie, *Scottish*.

Obstąpiła ją cała czwórka. Znały kilka angielskich słówek i prześcigały się w wysiłkach, żeby się z nią porozumieć. Udało im się nawet dać jej do zrozumienia, że przejęły się śmiercią księżnej Diany. Mary bawiła się tą rozmową znakomicie. Powiedziała im, że jest z Australii i nawet spróbowała naśladować kangura! Pękały ze śmiechu. A potem już musiały iść.

-Do widzenia pani – powiedziały. – Szkoła.

Patrzyła za nimi, pewna, że tego dnia będą miały co opowiadać nauczycielce.

A teraz pomyślała obserwując małych urwisów nad rzeką: *Dzieci są nie skażone przeszłością, szczęśliwe i mają wielką, wspaniałą przyszłość przed sobą.*

Siadła na trawie, w cieniu drzewa, wyciągnęła z torebki długopis i nabazgrała na skrawku papieru: *Vistula*…, nie, polskie słowo *Wisła* będzie lepsze:

> *Wisła, Wisła*, daleko płyniesz
>
> Od Krakowa do Bałtyku.
>
> Z warszawskiego mostu w dół
>
> Moje oczy śledzą nurt.
>
> Myślę o twoich synach
>
> Zabitych wiele lat temu.
>
> Walczyli, żeby cię bronić
>
> Wolność dla Polski – krzyczeli
>
> Swoim ostatnim oddechem.
>
> Bracia i siostry
>
> Trzymajcie głowy wysoko

> Polska jest wolna
>
> Polska nigdy nie zginie.

Przyjrzała się temu tekstowi. Tak, to było to. Była z siebie zadowolona.

Kiedy wspinała się z powrotem pod Barbakan, przy schodach wiodących do góry zobaczyła posąg powstańca, żołnierza. Stał na małym, białym cokole, w hełmie, z karabinem. Było w tym widoku coś znajomego. Chwilę trwało, zanim zrozumiała, co to takiego – i struchlała. Rozejrzała się dookoła i ze zgrozą zobaczyła, że to „coś" jest wszędzie: graffiti. Czarną farbą, na starych, poranionych kulami ścianach, na nowych białych domach, na cokołach pomników. Najobrzydliwsze słowa, ozdobnie przybrane w zawijasy, albo brutalnie proste, grube, bez osłonek. Dobrze jej znane.

Starszy pan, z trudem wspinający się po schodach, z laską w ręku, przystanął koło niej, zdyszany. Popatrzył na nią, za jej wzrokiem, na ten pomnik powstańca z ozdobnym *„Fucken"*… a potem powiedział z ironią:

-No cóż, cała młodzież uczy się dziś angielskiego.

Nie zrozumiała jego słów. Potoczył laską dookoła:

–*English* – powiedział.

To było tak, jakby ją uderzył. Chciała wytłumaczyć: ja jestem Szkotką… ale nie powiedziała nic. A on pokiwał głową – i poszedł dalej.

Dalszy ciąg ukaże się w poniedziałek 27 lutego 2017 r.

Boginii tańca.

Bronisława Niżyńska.



Ewa Stachniak, fot. Mark Reynes Roberts

Joanna Sokołowska-Gwizdka: W styczniu w Kanadzie ukazała się Pani najnowsza książka „The Chosen Maiden”. Polska premiera „Bogini tańca” planowana jest na maj tego roku. Co zafascynowało Panią w słynnej tancerce Bronisławie Niżyńskiej, że zajęła się Pani tą postacią?

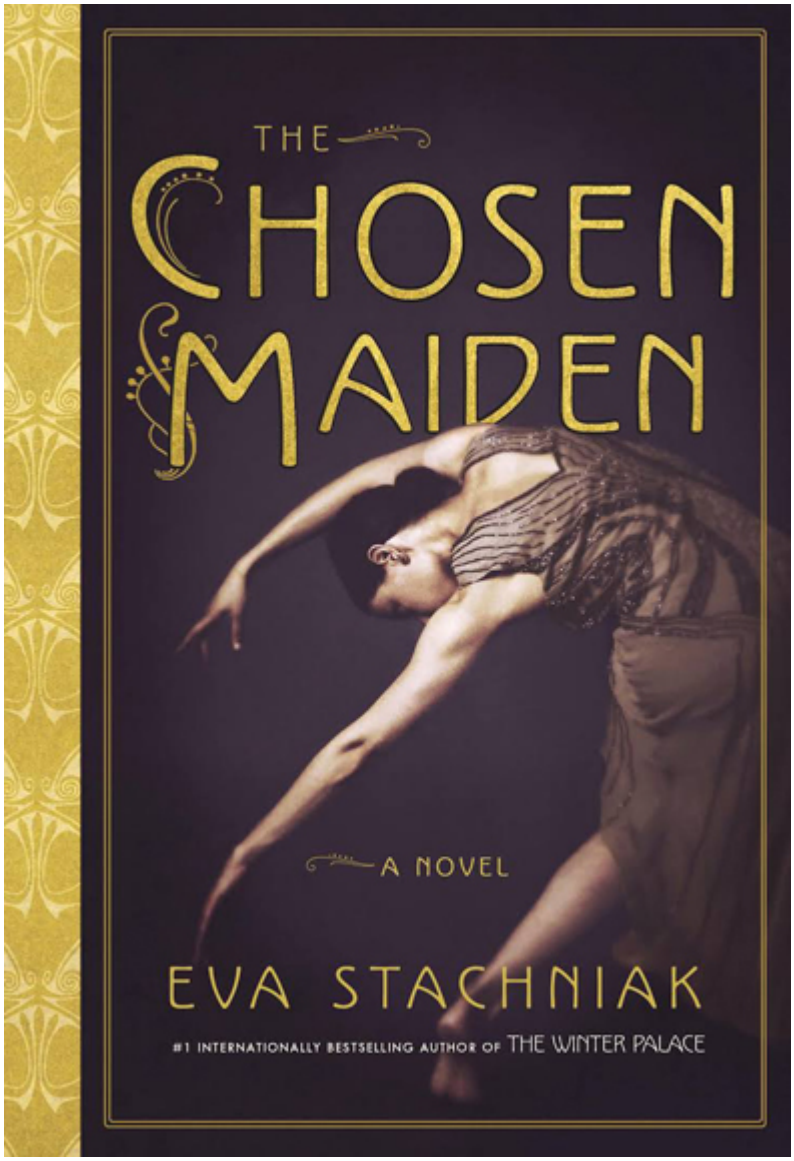
Ewa Stachniak: Przede wszystkim jej niezwykła siła i zaangażowanie w sztukę, której poświęciła życie. W jej pokoleniu kobiet, nie było to aż tak częste, choć Bronisława dojrzewała

wśród światowej sławy baletnic, takich jak Anna Pawłowa, Tamara Karsavina, czy Matylda Krzesińska. Poza tym była córką polskich tancerzy którzy wyjechali do Rosji „za chlebem" i zawsze żyli na granicy kultur. Zafrapowało mnie także, że na całym jej życiu zaważył cień sławy brata. Wacław, Bóg Tańca, jak o nim mówiono, od dziecka uznawany był za wyjątkowy talent. Jego młodsza siostra wiele się od niego nauczyła, ale aby stać się dojrzałą artystką musiała poszukać własnej artystycznej drogi. I to właśnie zrobiła.

JSG: Wacław Niżyński był postacią tragiczną, pogrążony w chorobie psychicznej trzydzieści lat spędził w zakładach zamkniętych. Pod koniec lat 90. ukazał się w Anglii jego „Dziennik", bez skrótów dokonanych wcześniej przez jego żonę, pisany pomiędzy ostatnim występem a rozpoczęciem leczenia. Publikacja ta spowodowała falę zainteresowania Wacławem Niżyńskim, jego geniuszem i tragizmem. Czy zwiększyło się też wtedy zainteresowanie jego siostrą Bronisławą?

ES: Interesowano się nią już dużo wcześniej. *Wspomnienia* Bronisławy Niżyńskiej – skompletowane jeszcze w 1971 roku, ukazały się w 1981 roku, 9 lat po jej śmierci i spotkały się z dużym zainteresowaniem. Świat baletu nigdy o niej nie zapomniał, choć dotychczas nie zdobyła powszechnej popularności. W USA, Lynn Garafola, z Barnard College, pracuje obecnie nad biografią Niżyńskiej, może więc jesteśmy świadkami

zmian?



JSG: Z „Dziennika” Wacława Niżyńskiego wynika, jak dużą rolę w jego życiu odgrywała siostra. Czy słynny tancerz był dla Bronisławy tym samym, czym ona dla niego?

ES: Był dla niej nauczycielem, mentorem, inspiracją, partnerem. Wyrastali razem, mieli bardzo podobne zrozumienie baletu. Byli dla siebie artystyczną inspiracją. Różnica polegała na tym, że

Wacław naznaczony sławą tak wcześnie w swoim życiu i starszy od siostry o prawie dwa lata, przez długi czas ją wyprzedzał. Musiała uwolnić się od jego wpływu, znaleźć własny głos, rozwinąć własne wizje. Udało jej się to dopiero w rewolucyjnej Rosji, w Kijowie, gdzie znalazła się w samym sercu modernistycznej rosyjskiej awangardy.

JSG: Wybrana na ofiarę – to rola w drugiej części „Święta wiosny" Igora Strawińskiego, słynnym balecie, wystawionym przez Balety Rosyjskie Siergieja Diaghileva w 1913 roku, z choreografią Wacława Niżyńskiego. Dziewczyna ginie w tańcu, dzięki czemu przyroda budzi się do życia. Wybraną miała zatańczyć Bronisława Niżyńska, ale ostatecznie rolę tę otrzymała Maria Piltz. Czy tytuł książki „The Chosen Maiden" ma być metaforą życia słynnej tancerki?

ES: To, że nie mogła zatańczyć Wybranej w 1913 roku było dla Bronisławy ciosem. Nie zatańczyła, bo była w ciąży i ta rola mogła kosztować życie jej nienarodzonego dziecka. Szkoda że tak się stało, ale rzeczywiście Wybrana ma w mojej powieści wiele znaczeń. To nie tylko słynna rola czy ofiara złożona budzącej się do życia ziemi. Bronisława została wybrana by stać się pełnoprawną artystką, by rozwinąć swój własny styl, stworzyć balety, które przeszły do historii.

JSG: Bronisława Niżyńska oprócz współpracy z Diaghilevem,

miała własny zespół baletowy w Kijowie, była baletmistrzem i choreografem Polskiego Baletu Reprezentacyjnego, założyła szkołę baletową w Los Angeles, współpracowała z American Ballet Theatre, kierowała też Buffalo Ballet Theater. Czy można powiedzieć, że artystka odniosła światowy sukces?



Bronisława Niżyńska, fot. Gordon Anthony, 1937 r.

ES: Zdecydowanie. Była i jest uznanym choreografem i jedną z pierwszych kobiet, która zdobyła międzynarodowe uznanie. Do tej listy dorzuciłabym jeszcze Teatro Colon w Argentynie, który nigdy nie ukrywał, że to Bronisława Niżyńska stworzyła

podwaliny argentyńskiego baletu.

JSG: Jak układało się jej życie prywatne?

ES: Miała dwóch mężów. Pierwszy, Sasza Koczetowski, zostawił ją z dwójką małych dzieci w Kijowie w 1921 roku. Drugi, Kola Singajewski, który był uczniem Szkoły Ruchu, jak nazywała się kijowska szkoła tańca Bronisławy Niżyńskiej, był jej oddany aż do jego śmierci w 1968 roku. Broni wielką, choć niezrealizowaną, miłością, nie był jednak ani Koczetowski ani Singajewski, a Fiodor Szalapin, wielki rosyjski śpiewak operowy. Przeżyła wiele osobistych tragedii, ale także wiele radości. Miała ciekawe życie.

JSG: Wacław Niżyński mówił, że czuje się Polakiem, mimo, że słabo mówi po polsku. Czy Bronisława Niżyńska też czuła się związana z Polską?

ES: Oboje wychowali się w polskim domu. I Wacław i Bronia zostali ochrzczeni w Warszawie. W 1928 roku kiedy Bronia pracowała w Argentynie, pisała do matki listy po polsku. W 1937 roku, została baletmistrzem w Teatrze Wielkim i choć angaż ten nie zakończył się po jej myśli, jej polski okres był bardzo owocny. Polskość była dla niej sprawą osobistą, rodzinną. Nie afiszowała się z nią, ale też nigdy nie starała się umniejszyćjej znaczenia.

JSG: „The Chosen Maiden”, tak jak inne Pani książki jest

powieścią historyczną. Na ile jest tam faktów, a na ile fikcji?

ES: Bardzo się staram by moje powieści oparte były na historycznych faktach. Pracując nad powieścią korzystałam z archiwalnej kolekcji w Bibliotece Kongresu w Waszyngtonie. *The Bronislava Nijnska Collection* zawiera pokaźną kolekcję notatek, listów, pamiętników i zdjęć – wszystkie te materiały posłużyły mi jako źródła. Poza tym rozmawiałam z tancerzami i choreografami, starając się poznać tajniki ich pracy. Fikcją jest moja tych faktów interpretacja.

JSG: Czy i z tą postacią się Pani „zaprzyjaźniła”?

ES: Bardzo. Stała się moją przewodniczką po świecie współczesnego baletu, nauczyła mnie patrzeć na taniec oczyma choreografa. Przeżywałam z nią jej radości i jej tragedie. Była mi też bliska, gdyż wychowywały mnie kobiety pokroju Broni i jej matki: odważne, naznaczone historią, silne. Moja babcia nie była dokładnie rówieśniczką Broni ale należały do tego samego pokolenia kobiet, które nie mogły sobie pozwolić na słabość bo przetrwanie ich rodzin spoczywało na ich barkach.



Bronisława Niżyńska w balecie „Les biches”, 1924 r., fot. pinterest.

JSG: Do jakich miejsc związanych z Bronisławą Niżyńską dotarła Pani zbierając materiały do książki?

ES: Paryż, Wenecja, Monte Carlo, Nicea, Normandia, Warszawa, wszędzie, gdzie Balety Rosyjskie odnosiły swoje największe sukcesy, gdzie powstawały choreograficzne arcydzieła Wacława i Bronisławy. Odwiedzałam teatry, w których pracowała, sceny na których tańczyła, chodziłam ulicami, przy których mieszkała. Do

Wenecji przyciągnął mnie Diaghilev, na wyspę San Michele, gdzie jest pochowany i na Lido gdzie zatrzymywał się podczas każdego pobytu w Wenecji.

JSG: Książka ukazała się już w Niemczech, będzie też polskie wydanie, Czy są plany dotarcia do innych krajów?

ES: „Bogini tańca” ukaże się we Włoszech, inne plany są jeszcze w trakcie negocjacji.



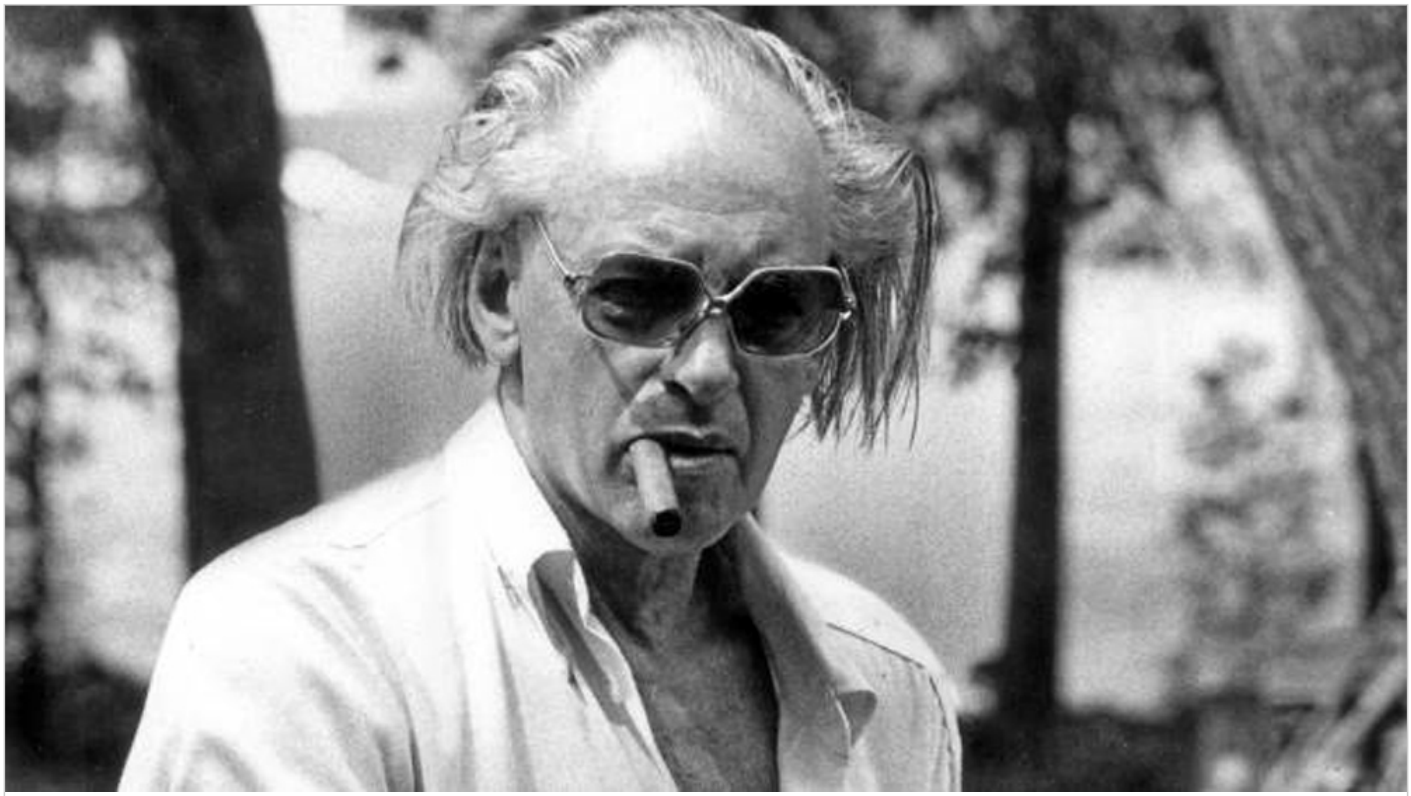
Ewa Stachniak przy rzeźbie przedstawiającej parę tancerzy – rodzeństwo Wacława i Bronisławę Niżyńskich w balecie „Popołudnie fauna”. Rzeźba stoi w Teatrze Wielkim w

Warszawie.



Mól w żelaznej

kurtynie. Al Purdy (1918-2000).



Al Purdy

Florian Śmieja

Purdy jest wedle opinii wielu swoich ziomków ważną, a nawet centralną, postacią minionej fazy formowania się narodu kanadyjskiego oraz czołowym poetą tych doświadczeń,

oryginalnym głosem kulturalnych, historycznych i politycznych aspiracji ludzi, którzy chcieli zbudować alternatywne społeczeństwo amerykańskie we współpracy Anglosasów i Francuzów, bardziej stabilne i praworządne od republiki południowego sąsiada.

Jego tomik wierszy "Moths in the Iron Curtain" (Toronto 1979) z podtytułem "Przygoda" nie należy do jego sztandarowych utworów, na co wskazuje choćby pominięcie go przez autora, kiedy układał "Poezje zebrane". Ale ten właśnie zbiorek ilustrowany fotografiami zrobionymi przez żonę, Eurithe, ofiarował mi z dedykacją rozciągniętą również na moją żonę i na młodszego syna, „piromana", kiedy przed laty wracając z Montrealu odwiedziłem go w jego słynnym domku w Ameliasburgu.

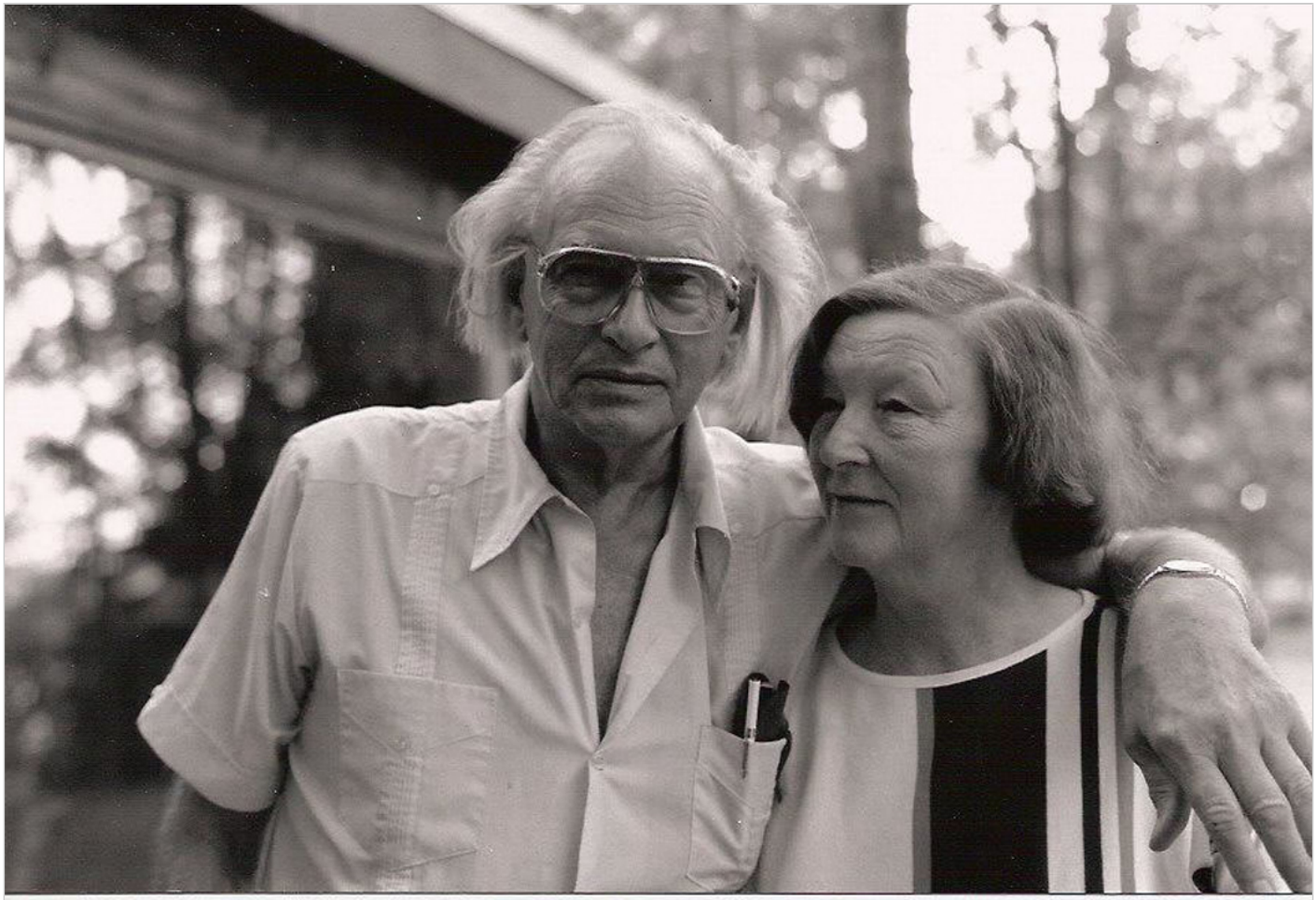
"Mole w Żelaznej Kurtynie" to poetyckie reminiscencje z podróży Ala z kanadyjskim poetą i przyjacielem, Ralphem Gustavsonem, wraz z żonami, na oficjalne zaproszenie do ówczesnego ZSSR. W ciągu trzech tygodni pod ścisłą opieką tłumacza i bacznych pilotów kanadyjska czwórka odwiedziła Rygę, Leningrad, Moskwę, Kijów, Taszkent i Samarkandę. Dowcipny wstęp Ala nadaje również niefrasobliwy ton wierszom. I tak w jednym z nich Al biada nad niewielką ilością napisanych w czasie podróży wierszy i proponuje swojemu towarzyszowi Ralphowi zamianę: za jeden własny wiersz chce pięciu jego tekstów, by było po równo.

Nie stroniąc od mocnych trunków, którymi ich gospodarze raczyli, goście ograniczyli się do roli przychylnych obserwatorów respektujących zwyczaje i gusta innych. Nie umacniając Żelaznej Kurtyny, wielkiej krzywdy jej nie wyrządzili. Rzadka krytyka była okraszona humorem. Jako szermierz języka efektywnego Purdy przyrównał kwiecisty język gospodarzy do sytuacji, w której "sześć przymiotników kojarzy się z jednym biednym maleńkim męskim rzeczownikiem, co w każdym języku stanowi semantyczną poligamię".

Alfred Wellington Purdy urodził się w ubogiej rodzinie chłopskiej w Ontario. Opuścił szkołę, kiedy miał szesnaście lat i imał się różnych prac fizycznych jeżdżąc w czasach depresji pociągami towarowymi po całej Kanadzie. Był niezwyczajnym zjawiskiem potężnego mężczyzny piszącego od młodych lat wiersze. W 1944 roku za własne pieniądze w Vancouverze wydał debiutujący tomik. Nie był żadnym cudownym dzieckiem, ale samoukiem z wrodzoną skłonnością do poezji i chłopskim uporem. Zaczął od naśladowania tradycyjnych poetów produkując słabe, sztuczne utwory pisane w izolacji od współczesnej sceny kulturalnej. Dużo czytał. Z czasem zaczął studiować i poważać rówieśnych poetów jak D.H. Lawrence czy później, Irving Layton, ale poznając nowe formy trzymał się z daleka od naśladownictwa. Wierzył w swoją niezależność, nie chciał cudzych wzorców. Samodzielnie pracował wytrwale nad formą wypowiedzi i językiem. Po latach nabrał pewności i świeżego przypływu energii.

W 1960 zbudował w Ameliasburgu domek, który miał stać się jego ostoją, często z niego wyjeżdżał, ale stale wracał. Mógł wtedy też porzucić dorywcze prace i poświęcić się pisaniu. Jego poezja reprezentowała już własny głos, pełna była wigoru i swobody, powstawała na dawnych nieudanych próbach mocna i przekonywująca. Poeta urobił sobie własną dykcję, jego wiersz stał się płynny i odkrywczy, zmieniał dynamikę i ton. Purdy stał się sobą, osiągnął pisarską dojrzałość. Jego wiersze posiadały moc, były szorstkie, agresywne, ale potrafiły również być delikatne. Buszował w języku odważnie znacząc oryginalną drogę. Wszystkie udane zdobycze warsztatu konsolidował, wydawał wiersze i poematy szeroko czytane, zauważane i nagradzane. W 1965 zdobył ważną nagrodę Gubernatora Kanady.

Ustaliła się też z czasem tematyka jego wierszy: Kanada, jej rozległe ziemie i ludzie, miejsca znane z dzieciństwa, ale także i wszechświat oraz podstawowe tematy jak miłość i śmierć.



Al Purdy z żoną Eurithe

Zaczęto Purdy’go uważać za modelowego poetę kanadyjskiego. Zjawił się nagle na scenie już jako ważny poeta, respekt budzący erudyta, samouk, niestrudzony wędrowiec ciekawy świata, człowiek aktywny. Przed sentymentalizmem i pretensjonalnością bronił się buńczuczną, zaczepną ironią. Wciągnęły go sprawy podstawowe i ostateczne. Zdaniem wielu krytyków, żaden inny poeta nie włożył tyle głęboko odczutej kanadyjskości do swoich wierszy. W jego świadomości tkwi zawsze ogrom kraju, a przy tym kruchość istoty ludzkiej na tle nieznanej i niezbadanej

prehistorii kontynentu. Poczucie przemijania łączy z koniecznością identyfikowania swojego otoczenia.

> Zawsze starałem się unikać
>
> rzeczy nieprzyjemnych
>
> niemiłych zapachów, śmierci, fizycznego bólu
>
> Nigdy mi się to nie udawało
>
> kwiaty śmierdzą, piękno gnije, bogowie umierają
>
> jak tylko uda nam się zagarnąć dla siebie
>
> jakiś słoneczny moment i utrzymać w myśli
>
> już się przemienia w potwora
>
> opisywanie tych wszystkich aspektów grozy
>
> nie jest uniwersalnym lekiem
>
> żadną pomocą w nazywaniu rzeczy

> pomimo to nazywam rzeczy po imieniu.

Ukochanie życia każe mu się zajmować najmniejszą formą bytu, którą celebruje:

> Odebrać godność jakiemukolwiek bądź żyjątku
>
> nawet kiedy nie potrafi zrozumieć obraźliwych słów
>
> to trywializować życie samo

Uczy, że przez sztukę człowiek unika zagłady, zniszczenia ciała i ducha. Na widok dawnej broszki napisze:

> Po 600 latach
>
> myśl z kości słoniowej
>
> jest jeszcze ciepła.

Kiedy przed laty Al przyjechał na jeden semestr w charakterze poety gościnnego na Uniwersytet Western Ontario (a byli tam wtedy tacy pisarze jak James Reaney i Michael Ondaatje),

chętnie i z wielkim respektem słuchaliśmy jego pełnego głosu wygłaszającego z radością wiersze, których wydał kilkadziesiąt tomów.

Pisanie dawało mu przyjemność, podróżowanie i wydawanie stały się pasją. Widział szmat świata, ale przede wszystkim poznał rozległe uroki Kanady, które smakował, szczególnie atrakcyjna była dla niego daleka Północ, której ludzie i ich styl życia mu imponowali. Zanotował:

> Nigdy nie byłem szczęśliwszy, niż kiedy leżąc w śpiworze na arktycznej wyspie wsłuchany w rozgardiasz kaczek na szczycie świata, pisałem wiersz.

Mimo dużego dorobku i wielkich sukcesów, pozostał skromnym człowiekiem:

> Jako pisarz czułem się zawsze wiecznym amatorem. Pisząc wiersze przez całe życie, nie mam nigdy pewności, że powstanie nowy wiersz, a potem okazuje się, że piszę nowy wcale nie wiedząc, jak to się stało…

Autentyczność tych słów mogę potwierdzić, gdyż czekając raz z

Alem pod bramą uniwersytetu na spóźniających się przyjaciół, stałem się posiadaczem rękopisu dotąd nie ogłoszonego wiersza na poczekaniu napisanego i wręczonego mi przez zniecierpliwionego zawieszeniem poetę.

Czy małe jest wielkie – o poezji Floriana Śmieji



Promocja najnowszego tomu poezji Floriana Śmieji „Dotykanie świata” (2016) w Konsulacie Rzeczpospolitej Polskiej w Toronto, 22 listopada 2016 r. Florian Śmieja (z lewej) i Konsul Generalny Grzegorz Morawski).

Maria Magdalena Rudiuk

Florian Śmieja (poeta, tłumacz, krytyk, edytor, profesor uniwersytecki języka i literatury hiszpańskiej) jest, jak sądzę, w porównaniu do innych kanadyjsko-polskich poetów/ek wojennej emigracji, obok Bohdanowieczowej, najbardziej tradycjonalny.

Przy czym, paradoksalnie, czyż ta poezja nie może być uznana za wyraźną realizację postmodernistycznego wymogu rezygnacji z „grand – narratives"? To właśnie Śmieja zdecydowanie wspomaga postmodernistyczne „mini narratorstwo" – „małe" zamiast „wielkiego", bardziej lokalność niż globalność, bardziej konkret niż enigmatyczną uniwersalność. To właśnie on – jak to znajdujemy w *Mały wybór wiersz (s.* 23) – wyznaje, *jeśli w krajobraz wchodzić masz, to z sobą* i to on nakazuje sobie czujność, aby *„nie przeszła obok / ta, co się jedynie liczy: intymność.* W świecie wyborów:

> można w mroku dnia szarego
>
> pomnażąc cuda
>
> i trawić życie wśród bratnich zabiegów
>
> niegłośnym trudem
>
> (Florian Śmieja, Mały wybór wierszy, 3)

Obok, Danuty Bieńkowskiej, Zofii Bohdanowiczowej, Andrzeja Buszy, Bogdana Czaykowskiego, Janusza Ihnatowicza, Wacława Iwaniuka, znalazł się Śmieja w Kanadzie w następstwie drugiej wojny światowej. Wszyscy wymienieni twórcy byli „ofiarami"

wojny. O ile jednak Iwaniuk (i w mniejszej mierze Bohdanowiczowa) identyfikuje się z postawą „ofiary", o tyle pozostali zdecydowanie nie pozwalają sobie na zamknięcie się w tej kategorii. Śmieja bez wdziewania cierpiętniczych szat buduje w Kanadzie swój dom, nie zapominając o swoim gnieździe – Śląsku, tej specyficznej części Polski targanej, jak i reszta kraju, bolesnymi historycznymi zmianami.

TAM I TUTAJ – KULTUROWE DYSTANSE I BLISKOŚCI

Florian Śmieja pośród innych wojennych imigrantów w Kanadzie

Procesy adaptowania się w nowym kraju tak różnym od Polski i od Europy nie przebiegały bez oporów. Interesującym faktem jest, że różnice przeżywania kulturowych dystansów i bliskości wydają się być, w dużym stopniu, różnicami generacyjnymi. Najbardziej kontrastująca różnica postaw zachodzi między najstarszymi – najdłużej zakorzenionymi (Bohdanowiczowa, Iwaniuk), a najmłodszymi – najkrócej zakorzenionymi (Czaykowski, Busza). Dla Iwaniuka problem tożsamości jest „wszystkim", jest fundamentem myślenia i pisania, Busza jest ponad tym problemem. O ile Iwaniuk bezpowrotnie należy do utraconych miejsc, tak Busza nie przynależy do żadnego miejsca. Świadomie przyjęte, „obywatelstwo" – kulturowe Universum – pozwala Buszy i Czaykowskiemu przekroczyć wszystko to, co dla

Iwaniuka było nieprzekraczalnym światem. Dla Czaykowskiego człowiek – mocarstwo wewnętrzne, a nie „miejsca" są ważne" i tak jak u Buszy nie one decydują o tożsamości.

Śmieja, najbliższy wiekowo Iwaniukowi (13 lat różnicy) oddala się od „młodszych" i zbliża do Iwaniuka. Różnic jest jednak więcej niż podobieństw. O ile jednak u Iwaniuka jest to identyfikacja z obrazem zniszczonego swojego „miejsca" (Polski), tak u Śmieji jest to, mniej obraz, bardziej konkret, mówienie wprost – bardziej o Śląsku i jego bolesnych realnościach niż życiu Polski. U Śmieji jest to najczęściej identyfikacja w wymiarze realnym, Iwaniuk operuje znakami, które mają świecić blaskiem szerszych symbolicznych znaczeń utraconego „miejsca". W obydwu przypadkach jest to kult „miejsca", ale zarazem uderza odmienność funkcji: dla Iwaniuka jest to kontynuacja starej partiotyczno-niepodległościowej tradycji sięgającej do romantyków, u Śmieji jest to już nie *pars pro toto* ojczyzna, ale gniazdo – Śląsk, gdzie szuka i odnajduje prawartości siebie i człowieka.

W obydwu przypadkach jest to obrona imponderabiliów, ale dla Iwaniuka to wysiłek docierania do skarbca romantycznych znaków „ojczyzny duchowej", próba samookreślenia się jako poety – depozytariusza prawdy, mówienie z pozycji poety – autorytetu, kontynuatora dziedzictwa, jako tego kto wypełnia nakaz, realizuje wielki testament. I w konsekwencji rozpacz, bo

spełnienie misji, kontynuacja tradycji – bycia wieszczem swego narodu – jest niemożliwa, jakby nie ten czas, jakby zwyciężał paraliżujący poetyckie posłannictwo kosmiczny bezład powojennego świata – potwór Nowego Ładu burzącego dawne świętości. Głos poety – romantycznego patrioty, jest głosem wołającego na puszczy – taki jest status współczesnego poety – imigranta w Kanadzie i w reszcie Zachodniego świata. Zwyciężają „papierowe demokracje Zachodu", a sięgając do języka postmodernistycznego – coraz głębiej ustala się podejrzliwy stosunek wobec takich wyróżnionych wartości jak: patriotyzm, narodowość czy rasa. Zaczynają one być coraz głośniej rozpatrywane jako jeszcze jeden z groźnych mitów ludzkości, które prowadzą do grozy faszyzmu i nacjonalizmu. Dorobek Iwaniuka zaś swoich dalszych konsekwencjach – jest moim zdaniem – wyrazem poetyckiego energicznego protestu i goryczy, że nie tylko wysiłek walki zbrojnej Polaków w czasie drugiej wojny poszedł na marne, ale tradycyjny polski bojownik sprawy narodowej jest pozbawiony swojego uświęconego etosu, jakby był gatunkiem skazanym na kulturowe wymarcie, niczym kanadyjscy Indianie. Powojenny świat to proces burzenia świętego dla poety „status quo" . Nic już nie jest takie samo, „biblia nie jest biblią" .

U Śmieji jest obecne porażenie współczesnością, ale nie ma kosmicznego wyjścia świata „z normy". Zgodzić się trzeba z Marią Danilewicz –Zielińską gdy pisze: "W poezji Śmieji w

stopniu wyższym niż u pozostałych poetów grupy dochodzi do głosu przerażenie współczesnością” (Szkice o literaturze emigracyjnej, Paryż 1978, str. 333). Okres powojenny dla tego poety to dalej świat, gdzie budowanie domu jest możliwe, jak czytamy w wierszu *Nie jestem turystą* i jest to dalej świat tradycyjnych śląskich i chrześcijańskich wartości. To nie Iwaniukowy pocisk-słowo, to nie jest ton narodowej słuszności, wielkich prawd zagubionego poety, ale dominuje u Śmieji mowa ściszonym głosem pojedynczego człowieka, który nie stracił wiary, a więc nadziei w „lepsze”.

POEZJA – DEPOZYTORIUM WARTOŚCI

Kontynuator tradycyjnych wartości nie może rezygnować z postawy depozytariusza moralnych słuszności. Także obok decyzji mówienia „ściszonym głosem” (wspomnianej rezygnacji z „grand narratives”) podmiot liryczny nosi w sobie jednak cechy *człowieka faustowskiego* – człowieka „słusznej wiary”, w którą składa swe totalne poczucie wartości i znaczenia. W poezji Śmieji przyjmuje on postawę podziwianego przez poetę człowieka z „charakterem”:

> LUDZIE Z CHARAKTEREM
>
> Przez królewicza zhańbiona Lukrecja

nie mogąc z sobą żyć ujęła sztylet;

ponoć z odrazy, że wodził pryszczatym

śmierć sobie zadał ambitny poeta.

Niebezpiecznie żyć ludziom z charakterem:

słuchają głosów chociaż niebo puste

smak cenią wśród powszechnego obżarstwa.

Kiedy przeżyją, to powiedzą o nich

nieutytłani, wstydzić się nie muszą

żadnych lustracji się nie obawiają.

Jak w porównaniu wyglądają inni

co iść musieli na drobne układy;

nie mówiąc o tych, którzy nadal w maskach

co etykietkę za waszą I naszą

> sprytnie na tu I teraz pomienili?
>
> Wpierw towarzysze, potem .liberały
>
> z socjalistycznych trybun w kapitalizm
>
> wiatr historii zawsze im wieje w plecy
>
> znów na świeczniki wystawia, bezczelne
>
> gęby chichocą pośród dygnitarzy:
>
> że za pan brat z prokuratorem żyją
>
> to się śmiać mogą nawet z grubej kreski.
>
> Nie sądzę by im sen z oczu płoszyła
>
> ręka, co pisze po nocach na ścianie
>
> bezskutecznie: proszę państwa do gazu.
>
> (Florian Śmieja, Niepamiętanie, 11)

Kąśliwości pod adresem bliźnich, czy złoszczenia na ludzkie

przywary nie są obce podmiotowi lirycznemu Śmieji, ale dominuje ton wyważonej refleksji, ton zadumy na upływem czasu i paradoksalnością ludzkiego świata:

> DWA MITY
>
> Pisaliśmy ją przez duże E
>
> i przyrównywali do Wielkiej
>
> bo przemożna była potrzeba
>
> naszego wzrostu chociażby
>
> tylko we własnych oczach.
>
> Krwią poiliśmy maki, tułali się
>
> w opłotkach nieczułego świata
>
> cali zajęci sprawą czujni
>
> rycerze za naszą i waszą.
>
> Z pietyzmem mówiliśmy Kraj

> naród cierpiący, sama esencja
>
> bezwinnego człowieka
>
> kamienie na szaniec godności
>
> całopalny baranek bez zdrady
>
> solidarna bezinteresowność
>
> chłopcy krakowiacy wyłącznie.
>
> Aż tu się skończył komfort dychotomiii
>
> i znowu chochoł kazał nam się kłaniać:
>
> stąd emigrantom do kraju nie pilno
>
> a stamtąd nie mogą się dość nauciekać.
>
> (Florian Śmieja, Ziemie utracone, 16)

I znowu, takie wiersze w dorobku Śmieji można uznać za paradoksalnie wspomagające, tak obce poecie myślenie znanych radykałów nowej wrażliwości (Susan Sontag – Nowa

wrażliwość i inni jak Richard Gilman, Theodore Roszak...), którzy stwierdzają, że wszelkie wyjaśniania świata tak prymitywne, jak wyrafinowane (w tym racjonalnie kategoryzujące) są mitami, arbitralnymi konstrukcjami ludzi na pewnym etapie rozwoju kultury, w tym ludzkiej świadomości... że wszelkie poznanie i definiowanie jest niczym innym jak tylko indywidualnym bądź zbiorowym posługiwaniem się mitem, a nawet obiektywna świadomość jest niczym innym jak tylko szczytowym osiągnięciem zabiegów mitologizujących współczesnego człowieka.

Przy całym tradycjonalizmie Śmieji, przy uznaniu umysłu zwyczajnego za podstawę poetyckich konstrukcji, tego typu wiersze bronią dorobek Śmieji przed zarzutem dogmatycznego usztywnienia. Warto zwrócić uwagę, że percepcja jakości moralnych, intuicja zła – te zwyczajne doświadczenia każdego człowieka – nie prowadzą tego poety do wysiłków wyjaśniania czym jest *malum culpae* (zło moralne) a czym *malum poenae* (cierpienia), ile raczej odnajdujemy w dorobku wiele ich poetyckich zanotowań jako sposób poszukiwania swojej tożsamości:

> SPÓŹNIONA ARKA
>
> Moja Kanada jest spóźnioną arką

gdzie się rodzaje i gatunki chronią

przed kataklizmem zagniewanych mocy,

pobożną wieżą Babel, co pobrzmiewa

pomieszanymi językami, tętni

lojalistami wielu wzniosłych celów

i kustoszami serdecznych pamiątek.

Ona ochładza rozpalone serca

co tutaj uszły po wielu pożogach,

nakarmi głodnych, pragnących nasyci;

wyrozumiałym gestem wielkodusznych

często przygarnie łotra i blagiera.

W tym kraju można uleczyć nieufność.

Nieraz bohater wojennych dramatów

> mieszka naprzeciw dawnego oprawcy
>
> donosiciela, rzecznika przemocy:
>
> Jakby z substancji tak zgoła odmiennych
>
> chciano wypalić nowego człowieka
>
> żadną granicą nie obciążonego,
>
> nie niewolnika plemiennej historii.
>
> (Florian Śmieja, Niepamiętanie, 13)

A jednak to nie fenomen Kanady, ale kultywacja wartości plemiennych i protest wobec kulturowej deprecjacji Śląska jest wartością dominującą i bodaj czy nie istotą przesłania poetyckiego Śmieji. Śląsk to ziemia dla Polski odzyskana, ale dla poety jest utracona. To właśnie śląskie wiersze uwyraźniają najbardziej bodaj wzruszająco, że poezja tego poety jest bardziej zapisem doświadczenia niż autorytatywną wykładnią słuszności:

> ZIEMIE UTRACONE
>
> Ziemie utracone to posiadłości

najbardziej niezbywalne; żadne one

ewangeliczne marności, które mól

stoczy, zje rdza i ząb czasu nadgryzie.

One się zawsze ozywają w ciszy

nawet najbardziej strzeżonej samotni.

Wystarczy na moment zamknąć powieki

a najpełniej zaludnią twój sen. Nic to

że minął czas i narosło dystansów.

Nie ucichł dotąd turkot kół: wciąż dudni

i na wzgórzu sterczą nieme wiatraki

choć dawno zmełły swoje ziarno.

Sędziwa ciotka łaje niepogodę

której już nie ma poza jej lamentem.

> Bo nic nie jest bardziej twoje niż tamto
>
> co wtedy utraciłeś: pełne trzmieli
>
> małe pudełko w sadzie pod jabłonką,
>
> chude bociany kreślone niezdarnie
>
> na podniesionym blacie długiej ławy,
>
> u kulawego krawca szyte spodnie,
>
> ostre miętówki z poczekalni dworca.
>
> (Florian Śmieja, Ziemie utracone, 30)

W całościowym spojrzeniu diapazon emocjonalny w wyrażaniu człowieka i kultury XX wieku jest u tego poety optymistyczny (por. Pukaj, Notes, Odchodzenie, Wnuk…), mocno osadzony w tradycji chrześcijańskiej. Obok tonu pogody i akceptacji życia i kondycji ludzkiej, jak w humorystycznej „Drzemce”:

> DRZEMKA
>
> Zdrzemnąłem się nad wierszem Kawafisa

> już przy tytule zamknęły się powieki.
>
> Gdy otworzyłem oczy
>
> było po wszystkim:
>
> zdążył odejść Demetriusz
>
> i wcale nie po królewsku
>
> z Macedończyków nawet śladu.
>
> Wiele się może zdarzyć kiedy śpimy
>
> nie wolno zasypiać
>
> nie tylko gruszek w popiele.
>
> (Florian Śmieja, Niepamiętanie, 9)

nieobce mu są jednak melancholijne refleksje o kruchości życia – „jesieni”, ani ton kogoś, komu nieobce są grzechy ludzkie:

> KUSZENIE

Ledwo uszedłem z Babilonu

lecz nawet tutaj

gwar słyszę wśród traw

i pośród lilii polnych

że Salomon

nie był taki nagi

jak głosi przypowieść

że lepiej być ziarnkiem piasku

w stołecznej klepsydrze

niż młyńskim kamieniem

w kresowym miasteczku.

Nie bywam na kawie

więc nie wiem dlaczego

> tylu geniuszów chodzi incognito.
>
> Nie ma mnie na schadzkach
>
> rosnącego w oczach
>
> klubu nieproduktywów.
>
> Porażka moja będzie zawiniona
>
> osobista, bez ciotki w gazecie.
>
> Koniec niechlubny od rynku
>
> daleko. Nie słyszeli tu nawet
>
> o taryfie ulgowej a pisanie
>
> wierszy jest obciążeniem
>
> wstydliwym.
>
> (Florian Śmieja, Niepamiętanie, 30)

Śmieja uniknął sideł nihilizmu (Iwaniuk, Bieńkowska), ale

uobecnia się w jego dorobku dramat ludzkiej niemocy, bezradności:

> UCIECZKA
>
> Uszedłem poza zasięg złości
>
> w ustronne lasy.
>
> Zaszytego w gałęziach
>
> telefon nie znajdzie
>
> i nie przyniesie listu cierpkiego
>
> dzięcioł.
>
> Więc tylko myśl
>
> której ujść nie podobna
>
> więc jeno żal
>
> że ręka do podania stworzona

w pięść się zaciska

a uśmiech

liściem spada uwiędłym.

I jak nie zazdrościć

topolom

że rosną prosto

ptakom

że zamiast złorzeczyć – śpiewają.

Jak nie zazdrościć

mimo że wiem

że i we mnie

drzemią trele skowronków

i smukłość drzew.

> Mimo że wiem
>
> nie mam
>
> nie mam odwagi
>
> sięgnąć tak głęboko.
>
> (Florian Śmieja, Kopa wierszy, 58)

ŻYCIODAJNE ŹRÓDŁA ŚMIEJOWEGO ŚWIATA

Przy dzisiejszym zagubieniu aksjologicznym, zanikaniu wiary w obiektywną zasadność znaczeń , a w ślad za tym tradycyjnych sposobów nadawania światu sensu, właśnie temu poecie jakby udaje się omijać zawikłania współczesnej świadomości i pozostać wiernym prostocie wiary, że życie jest obdarzone znaczeniem:

> ZALECENIA NA WALNY ZLOT ANIOŁÓW
>
> Tak żyć, aby było jaśniej
>
> innym.
>
> Brać tyle

> by nie ubyło nikomu.
>
> Czekać, choć wiesz,
>
> że nikt do ciebie nie zapuka.
>
> Wierzyć w człowieka
>
> właśnie, bo zawodzi.
>
> (Florian Śmieja, *Wiersze*, 78)

Ten poeta omija całą plątaninę modernistycznych i postmodernistycznych zawiłości człowieka i kultury, aby pozostać w sferze prawd wzruszająco prostych i powiedzieć to, co dawno odkryte i dalej aktualne:

> STAŁOŚĆ CZŁOWIEKA
>
> Biskup saksoński Wulfstan
>
> wołał na progu milenium:
>
> nie lękajcie się, głupi,

siekier ani mieczy

rogatych duńskich rozbójców;

nie trwóżcie się,

kiedy dzioby łodzi

ryją się w wasze brzegi

lejąc po siołach pożar.

Pana się bójcie, rozwięźli,

co pełne macie komory

i skrzynie a ciało

jedno i brzuch.

Stamtąd pewniejsza zagłada,

śmiertelniejsze zniszczenie.

Powtarzam jego słowa

> sprzed lat tysiąca,
>
> nic zmieniać nie trzeba.
>
> Stałość kondycji człowieka
>
> oszczędza wiele zachodu.
>
> (Śmieja, *Wiersze wybrane*, 38)

Czy w dzisiejszym postmodernistycznym świecie taki tradycjonalizm podejścia ma status klasycznych staroci, czy jest w tym coś więcej? Śmieja, nie kwestionując stałości kondycji ludzkiej, przeciwstawia się tym samym współczesnemu relatywizmowi, współczesnemu rozumieniu wartości w kategoriach historycznych. Czy faktycznie w dzisiejszym świecie taki głos jest anachronizmem? Czy raczej taki poeta jest jednym z tych, którzy unaoczniają kulturowy sens wartości ciągle jednak dalej podstawowych?

Dramat współczesnego człowieka wywołany brakiem wiary w transcendentalny porządek omija tego twórcę. Czyż taka tradycjonalna postawa nie jest dzisiaj rzadkością? Ten poeta pisze tak, jakby cała postmodernistyczna aktywność destrukcyjna tego, co nazywamy „tradycją” nie dotknęła go.

Jakby stare i najnowocześniejsze „zagrożenia” omijały tego szczęściarza:

> SZCZĘŚCIARZ
>
> Tylu umarło z byle powodu
>
> a on się uchował
>
> z nieznaczną blizną na szyi.
>
> Innym nie trzeba było wiele
>
> gdy sam przez okno wypadł
>
> z cegłami w zawody
>
> tylko strachu się najadł.
>
> Widział bomby lecące
>
> prosto na niego
>
> ale zginęli tamci.

> Kiedy się zatrzasnęła
>
> żelazna kurtyna.
>
> został po dobrej stronie.
>
> W asyście mglistej pamięci
>
> może o sobie wspominać
>
> bez niewygodnych świadków.
>
> (Florian Śmieja. *Wiersze wybrane*, 66)

Jak to się więc stało, że ani wypadek z dzieciństwa, ani przymusowe roboty, ani okropności drugiej wojny, ani powojenne warunki w Anglii czy wreszcie stabilizacja w Kanadzie, ani modny i wdzierający się do dusz wszystkich postmodernizm nie zasiały spustoszenia albo co najmniej nie nadwątliły jego przekonań o sile tradycji? Jak to się stało, że te doświadczenia nie zostawiły śladów w postaci niepokoju wobec pewności rozumienia tego, co określamy „normalnością”?

Iwaniuk, aby przywołać go dla kontrastu, poszedł w zupełnie przeciwną stronę. Mimo oporów wobec nowej kultury to

katastrofizm, postmodernistyczny apokaliptyzm okazał się dla niego właściwym twórczym kontekstem – znalazł się tam jak w „domu" dla wyrażenia tragizmu człowieka drugiej połowy XX wieku. Iwaniuk nie podźwignął się po przeżyciach drugiej wojny światowej i po powojennej zdradzie aliantów („oddaniu" komunistom jego kraju), nie podźwignął się już po gwałcie odłączenia od życiodajnego źródła – ojczyzny. Nie ukoiła go stabilność kanadyjska, co gorsza, może właśnie ta kanadyjska stabilność normalności dla kogoś, kto przeżył wojnę i utratę kraju, była tylko jedną z późniejszych przyczyn zgorzknienia?

Wszystkie te fakty są ważne, ale mnie interesuje głównie znalezienie odpowiedzi na pytanie: jak to się stało, że powojenna kanadyjska rzeczywistość u Iwaniuka staje się światem zanikających znaczeń? Światem, w którym coraz bardziej dominującą wartością okazuje się bezsens? Podczas gdy o dziesięć lat młodszemu Śmieji ta sama tradycja „gniazda" pozwala zachować w tej samej Kanadzie jasne tony tak w poszukiwaniu, jak w znajdowaniu tego, co najważniejsze w życiu człowieka – sensu? Zaś u pozostałych młodszych twórców ta tradycja gniazda staje się bardziej ważną metryką językowo-kulturową (sygnalizującą ich odmienność w nowym świecie), niż sferą mocnych aksjologicznych identyfikacji.

„MAŁE JEST WIELKIE"

Obok różnic wieku, osobowości, doświadczeń, wdrożeń

intelektualnych i artystycznych, najbardziej intrygujące są dla mnie odmienności wyposażeń „miejsca”, odmienności aksjologicznego ekwipunku wyniesionego z „domu”. W konsekwencji widzimy różnorodność, można wręcz powiedzieć kontrastującą odmienność ukształtowań, co dowodzi tylko bogactwa polskiej kultury.

Ten ekwipunek domu w przypadku Iwaniuka nie stał się konstruktywny, nie pomógł mu unieść ciężarów życia (choć jednocześnie uaktywniał go twórczo). W przypadku Floriana Śmieji właśnie ta siła „gniazda” okazuje się źródłem życiowych mocy. Bo to właśnie tam (vide: Marek Pytasz, Florian Śmieja, *Wiersze wybrane*, Posłowie), na Śląsku, w obszarze pierwotnych wartości, tkwią korzenie Śmiejowej praufności, że życie ludzkie obdarzone jest sensem. Jego zwyciężający wszelkie przeciwności naturalny, znajomy, ziemski, nieuginający się w żadnych okolicznościach zdrowy rozsądek jest właśnie śląskiej proweniencji. To właśnie, obok chrześcijańskich wartości, tradycja śląskiego szacunku dla pracy, pokora wobec „twardego” życia, zachowanie we wszystkich okolicznościach właściwej miary widzenia – zdrowego rozsądku, pozwala mu widzieć świat taki, jakim jest w swoim zastanym pięknie i w jego możliwościach „upiększania”. W dorobku tego poety odnajdujemy bardzo wyraźne wyeksponowanie wartości życia zwykłych ludzi pracy. To jego twórczość może być uznana za ekspozycję postmodernistycznego „małe jest wielkie” .

W jednym ze swoich wierszy „Wyborni mistrzowie” Śmieja pisze:

> WYBORNI MISTRZOWIE
>
> Wyborni byli majstrowie
>
> schludnych śląskich osad
>
> miasteczek z kolorowych klocków. .
>
> Onegdaj znajomy proboszcz
>
> pokazywał zdjęcia
>
> frontony starych domów
>
> sacrum u szczytu oddzielne
>
> misternie wymodlone kielnią
>
> i rozumieniem rzeczy ostatecznych. .
>
> Błogosławieni, którzy stawiają

> kamień na kamieniu
>
> gromadzą budują mnożą. .
>
> Ich ciche imiona przetrwają
>
> Wandali Tatarów i nowszych szabrowników.
>
> (Florian Śmieja, *Niepamiętanie*, 8)

Poeta swój program zdroworozsądkowego, realistycznego minimalizmu uaktualnia tak w świecie „tutaj”, jak „tam” i może dlatego nie daje się zwieść żadnym Wielkim Sprawom, Jedynym Słusznościom, żadnym zbiorowym zaczarowaniom. Przeciwnie, jest w tym dorobku czytelne przekonanie o głębokim sensie zwyczajnych celów, tego wszystkiego, co zawsze było i jest sprawą zwyczajnych ludzi. Jest tam obecne przesłanie „małego”, ale solidnego gospodarowania życiem takim, jakie jest ono dane człowiekowi.

W tej postawie można dopatrzeć się kontynuacji starej tradycji myślenia, wynikającej z etymologicznego znaczenia słowa „kultura”. Jest to myślenie, że ludzka aktywność jest aktywnością kulturową, a więc uszlachetniającą zastany świat. Choć poeta nie wyraża tego expressis verbis, jednak przebija się to

przekonanie przez cały jego dorobek. Skoro uszlachetnianie / kultywowanie, to ludzka aktywność jest nie byle jaką aktywnością, to nie jest wszelka aktywność, ale tylko ta, która jest moralnym zobowiązaniem do zmiany ulepszającej. Praca „wybornych mistrzów" jest jednym z przykładów tak rozumianej aktywności – dobrej, solidnej pracy, a więc tego, co przez wieki stanowiło fundament w odnajdywaniu sensu życia indywidualnego i społecznego, co jednocześnie – jak sądzę – decydowało o euro-amerykańskiej dynamice kulturowej.

Przy tak rozumianym etosie aktywności jako pracy (aktywności celowej, racjonalnej, ulepszającej) czym jest aktywność poetycka? W „Moim wierszu" poeta wyjaśnia, że jest to „nazywanie głosem ściszonym":

> aby nie pogubiła się
>
> choćby najskromniejsza rzecz
>
> za którą potrzebujący kupi
>
> chleba, schronienie, spokój.
>
> Bo ona mnie obroni.

> (Florian Śmieja, *Wiersze wybrane*, 35)

SKRZĘTNY GOSPODARZ SENSU

Żyjemy w czasie traconej wiary we wszystko. Dziś każdy może się szczycić brakiem sensu, autentyczności, zagubieniem, każdy może być pozbawiony wolności i osobowości, przeżywać dojmująco tragizm swojego czasu… Przyznanie prostocie (by nie powiedzieć rutynie) codziennych prac – celów statusu tak wysokiego, jak nadawanie sensu ludzkiemu życiu, wydaje się programem mało atrakcyjnym, zbyt minimalistycznym, trąci myszką o pozytywistycznej proweniencji. Może w protestanckiej części Zachodu byłoby to zjawisko kulturowo „normalne", ale nie dla Polaka, który (jak mówił filozof Kotarbiński) „wielki duchem nie dba o to, co mu się plącze po podłodze".

A jednak Śmieja – Ślązak – Polak – Kanadyjczyk uparł się, aby szukać wielkości właśnie tam, gdzie rzadko kto jej szuka – w zwyczajności, w codziennym trudzie ludzi. I jest to jeden z solidnych fundamentów także polskiej tradycji, tradycji nazywanej ludową w opozycji do tradycji szlacheckiej.

Jeśli więc ten twórca szuka wielkości, to raczej w „małym" – w tradycji codziennej solidnej pracy. Właśnie tam, bo „małe" , ex professo, z racji swojej natury małego, jest osiągalne – realne,

namacalne, prawdziwe, od setek lat wypełniające życie tzw. zwyczajnych ludzi. Stara maksyma „ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka” jest przekonaniem mocno zakorzenionym w myśleniu poety.

Dzięki temu programowi – jak sądzę – trudy życia, wojenny szok, powojenna dynamika światów „tutaj” i „tam” były także łagodzone jak każde inne cierpienie. Bo jest to program codziennej krzątającej się dzielności, dyscypliny, racjonalnej hierarchii względów, balansu nie wykluczającego pisania wierszy.

Czy program Śmieji to mało? – mógłby ktoś zapytać. Śmieja nie proponuje wielkich celów, wielkich sensów. Raczej solidność wszystkich naszych dziennych spraw, sens małego, ale możliwego do zrealizowania, możliwego do wypełnienia i nadania ludzkiemu życiu godnego kierunku. Czy nie tędy droga? Zwłaszcza po tylu bolesnych mitologicznych za-czarowaniach i rozczarowaniach?

Jednym z głównych elementów różnicujących postawy twórcze polsko-kanadyjskich poetów jest w moim przekonaniu zagadnienie „sensu”. Rozumienie i NIErozumienie, wątpliwości, artystyczne rozstrzygnięcia i niedopowiedzenia są uobecniane w dorobku każdego z poetów. W całościowym oglądzie można umieścić Iwaniuka, Bieńkowską na jednym krańcu (z jego

przekonaniem o bezsensie świata i człowieka), Śmieję na zupełnie odległym i przeciwnym końcu. Czaykowski, Busza, Ihnatowicz znaleźliby się pośrodku, choć wcale nie w jednym i tym samym miejscu. Ci ostatni są ciągle w drodze. Są bardziej bohaterami wypraw po „złote runo” niż ofiarami wypraw (Iwaniuk, Bieńkowska), bądź, bez rezygnowania z dalekich wypraw, skrzętnymi gospodarzami sensu bliskiej, zapobiegliwej codzienności (Śmieja).

Staropolska biesiada a literatura



Staropolska biesiada.

Maria Wichowa

Sarmaci wielce cenili sobie życie towarzyskie. Znane jest powszechnie rozmiłowanie dawnych Polaków w ucztach, które były swoistymi ośrodkami organizującymi lokalne społeczeństwo ziemiańskie. Czasem stanowiły jedyne atrakcje towarzyskie w monotonnym życiu szlachty. Co prawda organizowano także polowania, grywano w szachy, ale naczelne miejsce w życiu towarzyskim zajmowało biesiadowanie.

Czym była staropolska biesiada? Wbrew pozorom pojęcie to nie jest całkiem jednoznaczne. Na ogół ten wyraz jest synonimem wystawnego przyjęcia, uczty, bankietu. W staropolszczyźnie istniały jeszcze inne odcienie znaczeniowe. Jeden z nich wskazał Filip Kallimach. Pisarz twierdził, że Grzegorz z Sanoka nie lubił ucztowania z Polakami. (…) Arcybiskup lwowski uważał, że jego rodacy biesiadowali wyłącznie dla dostarczenia przyjemności podniebieniu, on zaś życzyłby sobie, aby na takim zebraniu towarzyskim dominował ton intelektualny. Rzeczywiście w takich okolicznościach Sarmaci odczuwali potrzebę wymiany myśli, toteż wystawnej uczcie towarzyszyła rozrywka umysłowa, konwersacja, czasem tworzenie okolicznościowych wierszyków, doraźne inscenizacje parateatralne. Wszystko to miało sprawić przyjemność, być uciechą dla ucztujących, dodatkową atrakcją spotkania. Zaś Łukasz Górnicki użył wyrazu biesiada w znaczeniu „przednia zabawa", gdy pisał: *Król miał niemałą biesiadę dworując z tych, którzy się o ten żart gniewali.*. Zatem nie jest to synonim uczty. Raczej jawi się tu aspekt rozrywki, krotochwili.



Rysunek Maja Berezowska.

(…) Zabytki literackie wskazują na jeszcze jeden odcień znaczeniowy tego wyrazu. Istnieje satyryczny wiersz Anonima – Protestanta pt. *Biesiada o dobrym gospodarzu*. Sarmaci używali

zwrotu *biesiada o*, który w tym wypadku oznaczał rozmowę towarzyską, żartobliwą, żart, rozrywkę, pogawędkę, dysputę. Zatem przytoczony tytuł jest już czytelny, ale nasuwa jeszcze jedną refleksję. Mianowicie rodzi się podejrzenie, że wyraz biesiada wolno traktować tak jak określenie: waleta, wotum, mesjada itd. To stanowisko da się wesprzeć świadectwem epoki. Otóż pewien pamiętnikarz staropolski, niejaki Paszkowski pisał o hierarchii gatunków literackich i tematów stawiając fraszki, pieśni obok biesiad, apelując: *„Czytelniku (…), a to uważaj, że dziś świat abo raczej ludzie na nim tak się barzo powikłali, że wolą Fraszki, Fronce, Biesiady, Pieśni wszeteczne, Sowizrzały, Marchołty kupować niżeli co poważnego”*. Zatem owe „Biesiady” były niepoważne, zapowiadały czy gwarantowały łatwą rozrywkę. Zapewne były to obrazki z życia towarzyskiego, jak wymieniony utwór Anonima – Protestanta, sceny zabawne, dostarczające powodów do śmiechu. Dobrze było, gdy je czytał zgromadzonym „człowiek biesiadny”, obdarzony licznymi przymiotami towarzyskimi, dobry kpiarz, gawędziarz, posiadający łatwość prowadzenia konwersacji.

Temat biesiady, opisy uczty pojawiały się bardzo często na kartach literatury staropolskiej. Może warto przypomnieć niektóre dzieła. Listę otwiera wiersz Słoty *O zachowaniu się przy stole*, umieścić na niej wypada wspomnianą biografię Grzegorza z Sanoka pióra Kallimacha, liczne utwory poezji renesansowej z *Pieśniami* i *Fraszkami* czarnoleskimi włącznie i wyakcentować

istnienie *Biesiady o dobrym gospodarzu* Anonima Protestanta, wiersza zasługującego na uwagę badacza, wskazać bardzo liczne reprezentowaną poezję ziemiańską, uwzględniającą temat uczty, a więc choćby H. Morsztyna *Dobrą myśl ochotnego gospodarza*, O. Karmanowskiego *Wesele towarzyskie*, S. Mińskiego *Żywot ziemiański*, S. Słupskiego *Zabawy orackie* i wiele innych. To poetyckie obrazki pokazujące obraz ziemiańskiej szczęśliwości ze szczegółami z jej życia wziętymi. Kapitalnym źródłem wiedzy o biesiadach Sarmatów są pamiętniki, choćby J. Ch. Paska czy K. Zawiszy.

Pełny opis uczty, od przyjazdu gości do zakończenia zawiera wiersz Anonima – Protestanta. Zasługuje on na uwagę jako utwór „nietypowy", tzn. w powodzi zachwytów szlacheckich autorów ideologią życia „na wsi spokojnej" jest odmienny, względem ziemiańskiej idylli nastawiony krytycznie. Krótko mówiąc mamy do czynienia z satyrą na sarmacką biesiadę.

Utwór ma ciekawą kompozycję. Poeta chętnie posługuje się mową pozornie niezależną i obficie cytuje wypowiedzi gospodarza biesiady, który za zachowaniem ogólnie przyjętego ceremoniału oczekuje przybycia gości. A że mamy do czynienia z satyrą, to przykładamy właściwą miarę do wyznania właściciela dworku: *Samym się sobą w tym dworzyszczu brzydzę*. Jednak z pewnością jest tu echo obyczajowości szlacheckiej, nakazującej gościowi „nieba przychylić", byle było mu dobrze u gospodarzy.

Trzeba pamiętać, że gościnność nakazywała panu domu wielkie staranie o wygodę odwiedzających, a uchybienie w tym zakresie kompromitowało pod względem towarzyskim.

Staropolska „nauka o grzeczności” wielkie obowiązki nakładała na przyjmującego odwiedzających. Nakazywała mu okazywać radość z przyjazdu gości, serdeczność, życzliwość, opiekuńczość. Był zwyczaj obfitego karmienia, obdarowywawnia, czynienia tysiąca uprzejmości. Przysłowie „gość w dom, Bóg w dom” jest kwintesencją tego zjawiska.

Autor przytacza wyznanie gospodarza uszczęśliwionego przyjazdem gości, a następnie referuje jego ostatnie, pośpiesznie wydawane zarządzenia, aby dbać o ciepło w mieszkaniu, aby sprawnie i szybko przyrządzić poczęstunek, nakryć do stołu, przygotować miejsce i pokarm dla przyjezdnych koni, a nawet omieść śliskie schody, dbając o bezpieczeństwo przyjezdnych. „Cytuje” też słowa powitania, bardzo znamienne dla staropolskiej gościnności.

> Witajcież, moi łaskawi panowie,
>
> Ktorych ja zawsze mile oczekiwam,
>
> A stąd niemałej radości używam

> Bo kiedy już was, panów swych nie widzę,
>
> Samym się sobą w tym dzworzyszczu brzydzę,
>
> Pójdźmy do izby, niż będzie gotowo,
>
> A rzeczcie sobie jakie dobre słowo.
>
> (w.: 30 i n.)

Z zacytowanego fragmentu wynika, iż staropolska gościnność wymagała bardzo wiele od gospodarza, jeśli chciał uchodzić za człowieka znającego się na grzeczności. Otóż pan domu musiał zapewnić, że przyjezdni byli mile oczekiwani, sprawili mu swym przybyciem wiele radości, że podczas przyjęcia goście mają we władzy gospodarza, który wszelkimi znanymi sobie sposobami zabiega o zapewnienie im wygód i przyjemności, różnych rozrywek, dobrej atmosfery wbrew oczekiwaniom czytelnika satyry. (...) Gospodarz, całkowicie skoncentrowany jest na zapewnieniu gościom wszelkich przyjemności i atrakcji, częstuje trunkami, każdego według jego upodobań:

> Są też i księgi, jeśli kto chce czytać,
>
> Jest i kałamarz, kto ma pozew pisać,

(…)

Jest kreda: kto chce, niech ściany maluje;

Niech to wątpienia nie czyni nikomu:

Wszystkim waszmościom radem w swoim domu.

(w.: 41 i n)



Rysunek Maja Berezowska.

Zaproponowane rozrywki były chętnie akceptowane (jedni się do kredy rzucili, drudzy w pozwy uderzyli), wiele rymów na ścianach uwieczniono, szlacheckie krasomówstwo prezentowane było w układanych pozwach, natomiast nic autor nie pisze o tym,

czy znaleźli się miłośnicy czytania ksiąg. (…) Zapewne też opowiadano żarty, anegdoty (pieśni, wygłaszano zabawne przemówienia. Pamiętnikarze podają, że biesiadom często towarzyszyły polowania, gry w szachy, kuligi itp. K. Zawisza: *1695: W Berdyczowie stanąłem*).

Należało umyć ręce. Wbrew pozorom, wzmianka o tym zwyczaju nie stanowi chłodnej relacji „o zachowaniu się przy stole" lecz jest jego krytyką. W czasach Anonima Protestanta uważano mycie rąk przed posiłkiem za przesadę. Zwyczaj ten przybył z zagranicy i nie łatwo zakorzeniał się przy sarmackich biesiadach. Zatem miało być na opisywanym przyjęciu niezwykle wytwornie, gospodarz nie uchybił żadnemu ze swych obowiązków, znał i stosował dworne obyczaje. Goście również. W oczekiwaniu na podanie mis panowie dystyngowanie gładzili brody, wszyscy biesiadnicy dbali o nienaganne maniery. Zdaje się, że to „dworstwo obyczajów" było przestrzegane tylko na początku przyjęcia. Do ceremoniału należało podanie wilkoma, pucharu, „którym nowego gościa witano, a ten go całkiem spełnić musiał". Kielich ten bywał wielkich rozmiarów, czasem mieścił garniec napoju. Podobne obyczaje panowały w Rzeczypospolitej Babińskiej. Burgrabia tego wesołego towarzystwa podawał kandydatowi na obywatela Babina wilkom, który trzeba było wychylić do końca. Zdaje się, że obyczaj szanowano, ale nie budził entuzjazmu spełniających toast tym pucharem, o czym świadczy fraszka Kochanowskiego:

> Skarżysz się, że cię wilkom ktoś wczora pić musił
>
> Który cię wilk chrzypotą o włos nie zadusił,
>
> Ale się dobrze skarżysz, wszak to pospolita
>
> Wilkowi, że za gardło każde bydlę chwyta.

Spełniono wiele innych pucharów i toastów. Grzeczność nakazywała, aby kierowano je do gospodarza, z którym „przepijano". Sporo uwagi poświęcił „nalewaniu i przepijaniu" H. Morsztyn w *Dobrej myśli* konkludując „Wszyscy dziś podpijemy sobie".

W analizowanym wierszu Anonima Protestanta:

> Jednemu zatem wilkom przyniesiono,
>
> Ale iż prosił zaś odpuszczono.
>
> Bo tego wszystkim gospodarz pozwolił:
>
> Pij, co kto raczysz!

(…) Anonim Protestant nie zamieścił w *Biesiadzie o dobrym gospodarzu* opisu uczty, podawanych napojów i potraw, a tego rodzaju relacje pojawiały się w staropolskiej poezji ideałów ziemiańskich. Olbrycht Karmanowski w wierszu *Wesele towarzyskie* przedstawił dość dokładnie przyjęcie weselne zaś mniej szczegółowo podawane tam potrawy, zwrócił też uwagę na ceremoniał weselny.

> A ty, krajczy wprzód mięso postaw do rosołu!
>
> Potem niecha z korzeniem co ciepłego dają:
>
> Są kuny, jest zwierzyna, i flaki być mają.
>
> (w.: 18 i n.)



Rysunek Maja Berezowska.

W „drugim noszeniu mało było „warzystego, więcej pieczystego”. Zatem dość pobieżnie poeta zainteresował się tym, co zawierały misy i puchary weselne, bardziej skupił uwagę na przebiegu uroczystości i związanych z nią obrzędach. Wszystko to

zaprawione jest lekką ironią.

Natomiast prawdziwą ucztę dla podniebienia szczegółowo zrelacjonował Hieronim Morsztyn w wierszu *Dobra myśl ochotnego gospodarza*. Kurczęta, gęś, kapłony, kura w żółtej jusze, a druga „słodziusieńko z piotruszką usmażona", „kąsek borowej zwierzyny", torty, pasztety z kreplami, kołacze z cukrem, z rodzynkami, gorzałeczka, wino, mięso wszelkie, ryby: łosoś, lipienie, rosła szczuka (szczupak), cielęciny sztyka, bażant, sałata z ogórkamu (choć w tym szlachta mniej gustowała), miski z kiełbasami, przypiekane małdrzycki, miód w domu sycony. Przy tak zastawionym stole brać szlachecka „rześko piła". Wszystkie podane przez Morsztyna szczegóły miały uzmysłowić czytelnikowi, jakich rozkoszy dostarcza ziemianinowi przebywanie w wiejskiej Arkadii, jak błogo i wesoło płynie życie, jak urozmaicone i pożądane są spotkania towarzyskie, ile wtedy zakosztować można rozkoszy podniebienia. Produktów do sporządzenia opisanych przysmaków dostarcza dobrze prowadzone gospodarstwo ziemiańskie. (...)



Rysunek Maja Berezowska.

Oddajmy głos pamiętnikarzowi, który był wielkim panem, należał do elity towarzyskiej, pijał z samym królem. Mowa o Krzysztofie Zawiszy, wojewodzie mińskim, żyjącym w latach 1666 – 1721.

> 1697 29 XII s. 52 [Król] w Sławkowie traktował senatorów, i z innymi i z nami stanu rycerskiego napił się do woli. Był tam od JP Lubomirskiego, marszałka nadwornego koronnego, ambasador JP Pborski, starosta liwski, z przeprosinami od pana posłany, który napiwszy się różnie i nieprzystojnie występował, za co był konfundowany.

Innym razem pamiętnikarz pisał o swoich imieninach:

> 1698, lipiec
>
> 25 na św. Krzysztof hojnie traktowałem: był u mnie JP wojewoda miński, który mię dobrze wiązał; była okolica wszystka. Ten dzień na wielkiem pijaństwie odprawiliśmy.

A tak oto Zawisza relacjonował atmosferę zabawy karnawałowej w 1699 r.:

> 24 I
>
> Zapusty odprawiłem u siebie w Rohotnej w kompanii arcydobrej (..). Dziwnie hulaliśmy wesoło, żartowali, pili niezmiernie, tańcowali do upaści i nóg bolenia; jeździliśmy

> po nocy kulika itd. We środę goście późno bardzo rozjechali się (…). Po tych dniach całe dwa dni leżałem.

Nawet król był zmuszony przyjąć obyczaj swoich sarmackich poddanych:

> 19 czerwca 1699
>
> z królem na pokoju upiłem się do sytości, wino wprzódy, potem gorzałkę pijąc, czyli dubl (double) anyż, któregośmy z królem po razy pięć napili [się].

Wojewoda miński nie uznałby za godnego partnera do kielicha zacnego Piotra Rozjusza, wstrzemięźliwego doktora Hiszpana z fraszki Kochanowskiego, który chciałby poprzestać na jednej szklanicy wina, ale weseli kompani nakłonili go do wychylenia dziewięciu, po których „mózg się mu zmącił”. (…)



Rysunek Maja Berezowska.

Czasem biesiadę urozmaicała maskarada. Pisał o tym mi. im. Zawisza:

> 25 XII 1694
>
> Na Boże Narodzenie byliśmy u JP cześnika w Indurze; był JP strażnik, JP Massalski, chorążyc grodzieński itd. Dni i nocy na biesiadach w miłej konwersacyi trawiliśmy. Tamże i sceny różne wyprawowano, między któremi najlepiej swoją udał p. Bury, pokojowy JP strażnika, ubrany po białogłowsku, mający na stronie osobę damy lubieżnej; udał także swoją scenę i p. Blinstrup, także pokojowy JP strażnika ubrany za cygana: tenże potem służący niby semikowemu szlachcicowi panu Trzeciakowi.

Jak wynika z opisu był to rodzaj widowiska ponad teatralnego, forma zabawy, w której brali żywy udział zarówno „aktorzy” jak i „widzowie” i gdzie trudno wskazać granicę między „nadawcą” i „odbiorcą” „programu rozrywkowego”. Forma rozrywki nie wychodzącej poza ściśle określoną społeczność biesiadników, występ jednorazowy, związany z konkretną sytuacją towarzyską, w której zaistniał. Zapewne w takich momentach mógł w pełni wykorzystać swe talenty człowiek biesiadny. (…)

> Gospodarz baczny, mając to na pieczy,
>
> Aby wżdy takie zawiedziono rzeczy,

> Ku złemu końcu tak nie przychodzili,
>
> Zwłaszcza gdy starszy tej roty nie bili,
>
> Koło nich chodząc, tak tego przestrzegał.
>
> By się ten dalej ogień nie zażegał.
>
> Cudnymi często słowy napomniał,
>
> By w domu jego nikt nic nie poczynał,
>
> Co by tuż przy nim komu szkodzić miało,
>
> Mieniąc, że by go to boleć miało.
>
> (w.: 219 i n.)

(...) Autor *Biesiady...* doskonale znał rzemiosło satyryka. Współczesne mu poetyki (Scaliger, Pontanus) dostarczały niezbędnej wiedzy o tym gatunku, a wspierała je owocnie praktyka pisarza. Refleksja teoretyczna o satyrze pojawiła się w Polsce w XVII w. Łukasz Opaliński istotę tego gatunku wyjaśnił następującymi słowami:

> Jeżeli zaś daje
>
> Słuszną naganę albo obyczaje
>
> Ostrą satyrą sądzi i strofuje,
>
> Przymawia albo drwi, szydzi, żartuje,
>
> To tak w lat czyni, tak piórem maluje,
>
> Że prawdziwego nic się nie znajduje.
>
> (w. 147 i n.)

(...) U Kitowicza, Paska, Rzewuskiego zapoznać się można z rytuałem biesiadnym XVII i XVIII w., w którym szacunkiem darzono „tęgie głowy", nadzwyczaj wytrzymałych pijaków, bijących rekordy spożycia trunków, z uznaniem pisano o pijackich figlach, z zainteresowaniem słuchano opowieści o tym, co też się działo na sławnych biesiadach, choćby u księcia Karola Radziwiłła „Panie Kochanku". A miały miejsce ekscesy tak zdumiewające, że nawet satyryczna wyobraźnia Anonima Protestanta nie byłaby w stanie takich scen wykreować, w wieku XVI, kiedy to biesiadowali „poćciwi" sarmaci.

Danuta Irena Bieńkowska (1927-1974)

Florian Śmieja



Danuta Irena Bieńkowska

Powtarzamy zazwyczaj, że pamięć ludzka jest krótka, ułomna, a zdarza się, że wcale nie zainteresowana, by zachować zapis niektórych wydarzeń i ich aktorów. Dawniej prasa poświęcała mu swoje kolumny pieczołowicie odnotowując z kronikarskiego obowiązku zgony i dokonania zmarłych. Dziś ambitnej prasy jest co raz mniej, gazety proponują sensację i rozrywkę, nietrwałe

felietony i efemerydalną sieczkę. Utrwalanie ważniejszych zaszłości, przegląd wybitniejszych postaci, które przewinęły się przez scenę, nie obowiązują. Jeżeli jeszcze dodać brak dobrej woli, zapomnienie grozi wielu dawniej respektowanym zwyczajom.

Była wśród nas w Toronto poetka i nauczyciel akademicki Danuta Irena Bieńkowska (1927-74). Choć umarła młodo tragiczną śmiercią, zapisała się znacząco jako literatka i pedagog.

Urodziła się w Toruniu 7 grudnia 1927 roku w rodzinie zawodowego podoficera, lecz znalazłszy się w czasie wojny na terenach zajętych przez wojska sowieckie, została wraz z rodziną wywieziona do Uzbekistanu. a potem przez obozy uchodźców polskich przez Iran i Indie dostała się do Anglii. Krótkie dzieciństwo w Polsce miało się dramatycznie przemienić w tułaczkę na nieludzkiej ziemi, a potem, w orientalne niespodzianki Bliskiego Wschodu. Szczególnie zafascynowały ją Indie, których urok miał przetrwać do końca.

W Anglii podjęła studia literatury i języka rosyjskiego i angielskiego. Wyszła też za mąż, jak się miało okazać, nieszczęśliwie. Po przeniesieniu się do Kanady kontynuowała studia, a doktorat obroniła w Londynie, obierając za temat wczesną twórczość pisarską Stefana Żeromskiego.

W Toronto na uniwersytecie objęła lektorat języka polskiego, a później awansowała na profesora nadzwyczajnego. To ona opracowała i wprowadziła kursy literatury polskiej obejmujące teatr, prozę i poezję. Zajmowała się również folklorem słowiańskim. Dzięki jej wkładowi społeczność polska w Kanadzie doczekała się wprowadzenia języka polskiego do ontaryjskich szkół średnich.

Współpracowała z prasą emigracyjną. Drukowała w londyńskich "Wiadomościach", "Kontynentach", paryskiej "Kulturze" i torontońskim "Związkowcu" Dwa tomiki wierszy napisanych po polsku (pisała również po angielsku) pozwalają na wgląd w jej życie samotnicze, pełne rezygnacji i ataków choroby, a przecież pragnęła je rozegrać jak bajkę. Tak pisała w momentach optymizmu. Kiedy indziej odzywała się nuta niepewności:

> Między nocą a dniem,
>
> Między trwogą a nadzieją.
>
> Snuję, plotę swoje życie.
>
> I wyszywam biało-czarną nitką
>
> Linie kręte,splątane,

> Nigdy swego niepewne.

A potem była nawet prośba o tabletkę na śmierć. “Wiersze mi smutnieją pod piórem”, wyznała:

> I pochylają głowy
>
> Niedokończonych słów
>
> Jakby im zaciążył ten ból.
>
> Zaczęła jej doskwierać samotność, bała się nocy
>
> Jestem sama
>
> Bardzo sama
>
> Bez uniesień.
>
> Boję sie umierać na raty,
>
> Duchów w nocy,
>
> Snu.

Ale jeszcze się broniła, ogłaszała uczucia na sprzedaż, jak jabłka w koszu:

> Mam w sobie cały zapas
>
> Niezużytych uczuć.
>
> I uśmiecham się do kwiatow
>
> I do ptaków.
>
> Potem siadam przy oknie
>
> I czekam.
>
> Może nawet nie czekam
>
> Tylko trwam.
>
> Trwa we mnie czekanie
>
> Na jedno dobre słowo
>
> Które można zatrzymać

> Bez lęku.

Czekanie nie miało końca, bolała pustka. Zrodził sie lęk:

> Boję się samego siebie,
>
> Tej ręki, co mnie pcha
>
> W wielką niewiadomą
>
> W noc.
>
> Odsłonię wszystkie okna
>
> Otworzę wszystkie drzwi,
>
> Może uda mi się uciec.
>
> Już się ogień zapalił.
>
> Los zagląda przerz szyby,
>
> I zimnymi palcami puka.
>
> Boję się.

Raz po raz pojawiały się nuty rozpaczy. Czuła, że stała się zwiędłym, nikomu niepotrzebnym liściem.

> A potem się oderwę
>
> I wolno będę spadać
>
> Bez żalu i bez lęku
>
> W niebyt.

To prorocze spadanie miało się ziścić 9 lipca 1974 roku, kiedy zginęła w katastrofie kolejki linowej w norweskim Bergen.

Na szczęście, literacka puścizna Bieńkowskiej została opracowana z pietyzmem przez lojalnego kolegę profesora Bohdana Budurowycza i wydana w tomie "Między brzegami" przez Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy w 1978 roku. Profesor Louis Irribarne napisał solidny wstęp w języku angielskim. Edycja obejmuje poezję, wybór prozy oraz troskliwie zebraną bibliografię pism Bieńkowskiej. Ta książka, piękny hołd dla nieprzeciętnej postaci na arenie polskiego życia kulturalnego w Kanadzie, potwierdza gorzkie słowa epitafium „Pozostały po mnie wiersze…", ale także, wbrew pesymizmowi, pamięć prawdziwych przyjaciół i wiernych czytelników.



Toronto, fot. Jacek Gwizdka.